



HOTEL *Angletorre*

POWIEŚĆ

MARIE
BENNETT

MARGINESY



HOTEL
Angleterre
POWIEŚĆ

MARIE
BENNETT

PRZEŁOŻYŁA DOMINIKA GÓRECKA

MARGINESY

Hotell Angleterre

COPYRIGHT © Marie Bennett, 2015

BY AGREEMENT WITH Pontas Literary & Film Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dominika Górecka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,

WARSZAWA 2017

Niezupełnie tak wyobrażaliśmy sobie początek naszej kariery w wojsku: że będziemy jechać wagonem bydłowym z Malmö do Norrbotten. Niektórzy uśmiechają się szyderczo, zaskoczeni, inni sprawiają wrażenie przynębionych albo zaniepokojonych. Sam jestem chyba przede wszystkim wystraszony, ale nie chcę, żeby było to po mnie widać, dlatego śmieję się szyderczo wraz z innymi i kręcę głową, żeby okazać niedowierzanie.

Dziesięć minut później siedzimy już na podłodze w wagonie, a pociąg wytacza się powoli ze stacji Malmö Central. Jest nas trzydziestu, tłoczemy się jak śledzie w beczce. Gdy z czasem robi się zimniej, będziemy wdzięczni za tę narzuconą bliskość, jak również za ciekawą warstwę siana, które ktoś rozsypał na podłodze. W wagonie przed nami siedzi kolejnych trzydziestu rekrutów, a w wagonie osobowym najbliżej lokomotywy dwóch komendantów, którzy mają za zadanie eskortować nas na północ.

Nikt nie wie dokładnie, dokąd jedziemy, ale nie mamy wątpliwości, że chodzi o Norrbotten. Rok 1940 rozpoczął się zaledwie przed paroma dniami, a nieco ponad miesiąc temu Rosjanie wkroczyli do Finlandii. Potrzeba ludzi do wzmocnienia granicy z sąsiadem, żeby Rosjanie przez przypadek nie weszli na terytorium Szwecji. Łatwo jest zabłądzić w skutym lodem krajobrazie, gdzie jedynymi punktami odniesienia są pojedyncze stodoły z sianem, charakterystyczne dla Norrbotten. Rząd obawia się, że czerwoni mogliby wejść do Szwecji po prostu z rozpadu.

Próbuję usiąść wygodniej, ale brakuje mi miejsca na nogi. Mam świadomość, że żołnierz powinien zachowywać nienaganną postawę, staram się więc wyglądać możliwie jak najbardziej profesjonalnie. Rozglądam się ukradkiem po ciemnym pomieszczeniu. Większość mężczyzn robi wra-

żenie młodszych ode mnie o parę lat, tylko kilku wygląda na starszych. Niektórzy mają najwyżej kilkanaście lat, a ich pryszcze i pokryte meszkiem brody ostro kontrastują z ich męskimi przechwałkami. Część z nich już teraz mówi otwarcie, że „przejdą na drugą stronę”, czyli stawia się na ochotnika po stronie Finlandii i będą bić się z komunistami. Przez dłuższą chwilę prześcigają się w patriotycznych wyznaniach i heroicznych deklaracjach. Mimo to ani oni, ani my, którzy siedzimy bez słowa, nie mamy pojęcia, co nas czeka, gdy już dotrzemy na miejsce.

Mam na sobie zimowe sznurowane buty, wełniane skarpety, kalesony, dwa swetry, a na to wszystko płaszcz. Kerstin zrobiła mi na drutach kapтур – nie jest zbyt twarzowy, ale gdy zimno zaczyna dawać się we znaki, coraz bardziej go doceniam, podobnie jak szalik, rękawiczki i ocieplacze na kolana, które leżą spakowane w plecaku. Nie mam ochoty brać udziału w dyskusji małolatów, rozglądam się więc dokoła. Moje spojrzenie pada na znajomą twarz. Naprzeciwko mnie w wagonie siedzi szczupły chłopak w okularach. Ma ciemne, nieuczesane włosy i patrzy przed siebie z krzywym, nieco wyniosłym uśmiechem.

Odwracam szybko wzrok, gdy orientuję się, że mnie zauważył. Pamiętam go z ostatniego roku w szkole: Axel. Zawsze był trochę dziwakiem i odstawał od reszty klasy, miał najlepsze stopnie ze szwedzkiego i historii i najgorsze ze wszystkich pozostałych przedmiotów. Gdy skończyłem szkołę, on uczył się dalej i zdał małą maturę. Nie wiem, jakim cudem pozwolono mu z takimi ocenami kontynuować naukę, ale może przez lato nadgonił zaległości. Kiedy o nim ostatnio słyszałem, pracował jako reporter w „Arbetet”.

Podświadomie czuję, że nie powinienem trzymać się z Axelem, gdy już dotrzemy na miejsce. Pamiętam, że był kiepski z gimnastyki i że pyskował nauczycielom na lekcjach historii. Teraz wpatruje się we mnie, nie ma wątpliwości, że mnie rozpoznał. Otwieram plecak i udaję, że czegoś w nim szukam, aż w końcu odwraca wzrok.

Po wielu godzinach podróży jedyną wyczuwalną zmianą jest spadająca stopniowo temperatura. Mężczyźni siedzący wokół mnie bez przerwy się

wiercą, niektórzy wstają, żeby rozprostować nogi i plecy po tym, jak przez dłuższy czas siedzieli w niewygodnej pozycji.

– Czy ktoś wie, gdzie jesteśmy?

Siedzący najbliżej drzwi barczysty mężczyzna koło trzydziestki o poważnych, piwnych oczach, wstaje, odsuwa drzwi na bok i wygląda na zewnątrz. Zimne powietrze uderza nas w twarz. W oddali maluje się płaski i anonimowy zimowy krajobraz: rozrzucone daleko od siebie niewielkie gospodarstwa i kępy ciemnych świerków z ośnieżonymi czubkami. Moglibyśmy być w dowolnym miejscu w Szwecji. Kilku mężczyzn podnosi się z miejsca i wygląda przez szparę w drzwiach.

– To może być Smalandia – odzywa się jakiś młody żołnierz.

Wkrótce pociąg zwalnia, mijamy małą stację. Niektórzy wychylają się przez okno, żeby odczytać jej nazwę, ale oczywiście tablica jest zakryta, podobnie jak na wszystkich pozostałych stacjach, które do tej pory mijaliśmy. Jest to niezbędny środek zapobiegawczy w czasie wojny, który ma na celu zmylić potencjalnych wrogów. Barczysty mężczyzna zaciąga z powrotem drzwi.

– Nie ma co zgadywać. Przed nami długa droga. Może uda się kogoś spytać, kiedy się zatrzymamy.

Około północy szron skrzy się jak cukier puder na ścianach i suficie, a my przysuwamy się bliżej do siebie, żeby utrzymać ciepło. Żeby się odlać, trzeba stanąć w otwartych drzwiach i sikać na wietrze. Próbuję wytrzymać jak najdłużej. Nie mam ochoty sikać na oczach wszystkich, w końcu jednak nie wytrzymuję. Błądząc po omacku w ciemnościach, potykam się o siedzących na mojej drodze i udaję, że nie słyszę pomruków niezadowolenia.

Nie potrafię sobie poradzić z otwarciem drzwi, pomaga mi mężczyzna o piwnych oczach. Mam tak zeszytniałe palce, że nie mogę rozpiąć rozporka. Zsuwam więc spodnie i kalesony na wysokość kolan, starając się nie myśleć o tym, że teraz wszyscy widzą moje pośladki, i spuszcza ciśnienie parującym strumieniem, rysując nieregularny wzór na śniegu. Na koniec podciągam spodnie i patrzę w rozgwieżdżone niebo, dużo bar-

dzień mleczne od gwiazd niż w mieście. Po obu stronach ciągnie się czarny, cichy las.

– Zamknij drzwi, do cholery, przecież wieje! – krzyczy ktoś z wnętrza wagonu.

Oblewam się rumieńcem i siłuję z oblodzoną klamką. Gdy przeciskam się z powrotem na miejsce, dobiegają mnie zgryźliwe komentarze. Opadam na siano z ulgą, że mam już za sobą wizytę w toalecie, ale po chwili głód przypomina o sobie ze zdwojoną siłą. Kerstin chciała spakować mi kilka kanapek do plecaka, ale ponieważ i tak był już ciężki, odmówiłem.

– Po drodze na pewno dostaniemy coś do jedzenia. Chyba nie myślisz, że będą nas głodzić, skoro mamy się bić z Ruskimi? – powiedziałem wtedy.

Oczywiście jak zwykle nie wiedziałem, o czym mówię.

Otwieram plecak, przeklinając własną głupotę. Być może znajdę w nim coś, co nadaje się do jedzenia, co spakowała Kerstin, nie mówiąc mi o tym. Przerzucam bieliznę, swetry, chusteczki do nosa i ocieplacze na kolana, aż wreszcie moja dłoń napotyka szeleszczącą paczuszkę leżącą na samym dnie plecaka. Czy mimo wszystko spakowała kanapki? Z nadzieją wydaję trofeum, którym okazuje się toreбка cukierków Kungen av Danmark. Pewnie pomyślała, że przydadzą mi się na północy, gdy rozboli mnie gardło. Ach... Czuję się zawiedziony.

Mimo to otwieram pośpiesznie torebkę i wkładam garść cukierków do ust. Łagodna słodycz z nutką anyżu łagodzi na chwilę głód, ale gdy z ulgą opieram się o ścianę, ktoś ciągnie mnie za rękaw.

– Poczęstujesz?

Próbuję schować torebkę za plecami, ale szybko orientuję się, że jest już za późno. Mój sąsiad, młody piegowaty chłopak z lekko rudymi włosami, z którym do tej pory nie zamieniłem nawet słowa, patrzy na mnie wyczekująco, podobnie jak paru innych w pobliżu, którzy również domyślili się, co się święci. Kilka par chciwych oczu kieruje się w moją stronę i choć przeklinam w duchu, próbuję zatuszować swoją niepewność uśmiechem, żeby nie pomyśleli, że jestem skąpy. Podaję torebkę rudowłosemu.

– Jasne. Częstuj się.

Czuję przymus, żeby poczęstować również pozostałych, i gdy wreszcie toreбка do mnie wraca, jest pusta. Zirytowany zgniatam ją i wpycham z powrotem do plecaka. Rudy przygląda mi się z zainteresowaniem – być może spodziewa się, że za chwilę wyczaruję z niego kolejne smakołyki – i podaje mi rękę.

– Harald Möller, student. Miło, że się podzieliłeś.

Rzucam mu przelotne spojrzenie, które jedynie potwierdza to, co już wcześniej zauważyłem: mój sąsiad to szczupły, niepozorny przedstawiciel klasy robotniczej, który prawdopodobnie ma zerowe doświadczenie w wojsku. Wyciągam dłoń z ostentacyjną niechęcią.

– Georg Lindkvist, majster – odpowiadam z dumą i prostuję plecy, pilnując, by mój uścisk był mocny i zdecydowany.

– Majster? Gdzie? – pyta zaciekawiony Harald.

Nie odpowiadam, ale wydaję paczkę papierosów z kieszeni, zapalam jednego i dmucham na niego dymem. Tym razem nie mam zamiaru nikogo częstować.

– W Sockerkompaniet – rzucam w końcu z nonszalancją i strącam grudkę popiołu, która utworzyła się na końcu papierosa. – Moja żona pracuje w Colonialen – dodaję i od razu żałuję, że to powiedziałem.

Przecież już wiem, że szkoda mojego czasu na Haralda Möllera.

– Żona – a więc jesteś już żonaty? – dopytuje.

Przytakuję i rozglądam się dokoła. Jest środek nocy, większość podróżujących siedzi pogrążona w stanie zawieszenia między jawą a snem. Nieco dalej jakaś grupka gra w karty w słabym świetle lampy kołyszącej się pod sufitem.

– Macie dzieci?

Zaciskam usta i gaszę papierosa na podłodze.

– Jeszcze nie. Niedawno wzięliśmy ślub – mówię, chcąc zakończyć temat.

Nie mam ochoty rozmawiać o moim życiu prywatnym z Haraldem, zwłaszcza że jego niewinne pytanie przypomniało mi o awanturze, w jaką wdaliśmy się z Kerstin przed kilkoma dniami. Tygodnie poprzedzające

mój wyjazd przebiegły niespokojnie, a nasze nerwy były napięte do granic możliwości. Być może dlatego zareagowałem tak, jak zareagowałem, gdy przyłapałem ją z butelką ze spryskiwaczem w ręku. W łazience śmierdząco octem, a Kerstin stała nago w rozkroku i przyskała się w to samo miejsce, które całowałem zaledwie pół godziny wcześniej. Kochaliśmy się, a potem ona wyszła do łazienki, żeby się umyć.

Gdy otworzyłem drzwi, zaczerwieniła się aż po cebulki włosów, wyraźnie speszona. Z początku nie rozumiałem, o co chodzi.

– Co ty robisz, do cholery?

– Nic – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku, i odstawiła spryskiwacz.

Odwrócona do mnie plecami, odkręciła kran i zaczęła polewać się zimną wodą. Wszedłem do łazienki i zanim zdążyła mnie powstrzymać, wziąłem do ręki spryskiwacz. Był z różowego szkła i miał niewielką pompkę, z której wychodziła rurka prowadząca do jego wnętrza. Zwykła butelka na perfumy, kupiona prawdopodobnie w domu handlowym Epa. Teraz był w niej jednak bez wątpienia ocet.

– Dlaczego pryskasz się octem między nogami?

Poczułem, jak wzbiera we mnie złość, i zadrżał mi głos, bo nagle dotarło do mnie, co tu tak naprawdę się dzieje.

Kerstin zakręciła kran i zawinęła się w szlafrok. Wciąż nie patrząc na mnie, wydusiła:

– Chciałam się wymyć. Dziewczyny z fabryki mi to doradziły.

– Wymyć?

Zrobiłem krok do przodu i złapałem ją za ramię.

– Nie chcesz zajść w ciążę, tak? Próbowalaś zabić...

Kerstin wyrwała ramię i spojrzała na mnie rozgorączkowana.

– Nie chcę mieć dziecka. Nie teraz, kiedy wyjeżdżasz, nie rozumiesz tego? Nie wiemy przecież, co nas czeka ani kiedy wrócisz. Nic już nie wiadomo... Zaczekajmy z tym, dobrze?

Ostatnie słowa zabrzmiały bardziej błagalnie niż obcesowo, bo doskonale wiedziała, ile to dla mnie znaczy, jak ogromnie chciałbym już powiększyć rodzinę. Liczyłem na to, że uda nam się jeszcze przed moim wyjazdem. Potem kłóciliśmy się przez ponad godzinę. Nie wiem, dlaczego

tak mocno mnie to zabiło, chyba poczułem się oszukany. Jakby swoim postępowaniem wyrzekała się nie tylko dziecka, ale również mnie.

Wracam myślami do tamtego zdarzenia, gdy pociąg telepie się dalej. Wspomnienie przeszkadza jak ostry kamyk w bucie i mam nadzieję, że na mojej twarzy nie widać bólu, jaki wciąż odczuwam, kiedy o tym myślę. Naturalnie pogodziliśmy się z Kerstin. Nasze pożegnanie kilka dni później było bardzo czułe.

– Pewnie twoja żona tęskni za tobą? – odzywa się Harald.

Wzdrygam się i podnoszę wzrok. Zamyśliłem się i prawie o nim zapomniałem.

– Tęskni, ale to przecież nie potrwa długo. Najwyżej cztery miesiące, a do tego czasu na pewno dostanę przepustkę.

Harald kiwa pospiesznie głową.

– No jasne. Myślisz, że dostaniesz? No wiesz, przepustkę.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem, nie znam się na tym. To ty jesteś starszy i masz doświadczenie – schlebia mi.

Patrzy na mnie z taką nadzieją, że waham się, czy mu powiedzieć, że nie odbyłem nawet podstawowego szkolenia wojskowego. Mam za sobą jedynie kilkutygodniowe ćwiczenia w utworzonej na szybko jednostce wojskowej w północnej Skanii, gdy zeszłej jesieni zaczęła się mobilizacja. Mój rocznik został zwolniony z obowiązkowej służby wojskowej, gdy Szwecja się rozbrajała. Pułki i korpusy zostały rozwiązane, a jednostki wojskowe zlikwidowane, bo kraj musiał oszczędzać. Kilka lat temu mało kto przypuszczał, że wkrótce znów wybuchnie wojna.

– Ech, wiesz... Nie jestem pewien, czy mam aż takie doświadczenie – odpowiadam, udając skromność. – No ale to przecież oczywiste, że mamy prawo do ubiegania się o przepustkę. Na chrzest, ślub, pogrzeb... i tak dalej.

– Aha – odpowiada tylko Harald.

Przez dłuższą chwilę milczy, a ja nabieram przekonania, że nasza rozmowa dobiegła końca, więc gdy znów się do mnie odzywa, jestem zaskoczony.

– Ja nie mam żony. Ojciec zmarł kilka lat temu, mieszkam w Limhamn z matką i starszą siostrą, Gunillą. Ale studiuje w Lund.

Patrzę na jego zniszczony płaszcz i marne buty. Raczej nie wygląda na kogoś, kto studiuje na uniwersytecie. Pewnie dostał jakieś stypendium. Czuję ukłucie zazdrości, udaję więc brak zainteresowania. Nie mam zamiaru zapytać go, co studiuje, nie chcę dać temu chwalipięcie satysfakcji. Zresztą nie muszę nawet pytać. Harald z własnej woli opowiada, że studiuje historię i chciałby w przyszłości pracować naukowo.

Unoszę brew i przyglądam mu się z powątpiewaniem. Po chwili traci pewność siebie i zaczyna się jękać.

– Cóż... To moje marzenie. Być może będę musiał jednak przerwać studia i znaleźć pracę, żeby utrzymać matkę i siostrę. Zobaczymy, jak to będzie – mamrocze.

Kiwam z przekonaniem głową.

– Niewykluczone, że nauczysz się więcej dzięki pracy niż studiom. Samotne przesiadywanie w bibliotece wśród zakurzonych książek jest moim zdaniem trochę nieżyciowe.

Przyznaję, zazdroszczę mu. Harald kiwa zamyślony głową, ale po chwili znów się uśmiecha.

– Pewnie masz rację... Tutaj też zdobędziemy życiowe doświadczenie, nie sądzisz? Choć mama trochę się o mnie martwi – dodaje.

Wzruszam ramionami. Życiowe doświadczenie, twierdzi Harald. To tylko pokazuje, jak bardzo jest niedoświadczony i dziecinny.

– To naturalne. Matki... – zawieszam głos i poprawiam plecak.

Moja matka zmarła, gdy miałem dwanaście lat, a ojciec niecały rok później. Nagle czuję, jak ogarnia mnie zmęczenie, chciałbym się położyć, ale w tak ciasnej przestrzeni jest to niemożliwe. Zsuwam się więc do pozycji półleżącej i okrywam płaszczem. Haraldowi mówię, że muszę się przespać. Chyba jest trochę zawiedziony, dlatego zamykam oczy, by pokazać, że mówię serio. Mam dosyć tej rozmowy, dosyć jego natarczywego spojrzenia i naiwności. Z daleka widać, że szuka pokrewnej duszy, silniejszego kolegi, który ochroni go przed ewentualnymi nieprzyjemnościami. Ale ja nie jestem tym, kogo szuka, i w żadnym wypadku nie zamierzam zostać niczym aniołem stróżem.

Wzdycham i się odwracam. Chcę mieć spokój, żeby móc myśleć o Kerstin; wspominać nasze ostatnie wspólne godziny i wyraz jej twarzy, gdy się żegnaliśmy. Tak trudno uwierzyć, że jeszcze dziś rano jedliśmy razem śniadanie przy małym stoliku w kuchni.

W którymś momencie w nocy czas przestaje mieć znaczenie. Zniecierpliwienie i niepokój, jakie odczuwałem na początku podróży, zostają zastąpione przez coraz dłuższe chwile zubożenia i apatii. Czasem udaje mi się przysnąć, ale niewygodna pozycja, zimno, kołysanie i wstrząsy wagonu co chwilę mnie wybudzają. Większość mężczyzn kuca wzdłuż ścian wagonu, a ich głowy kiwają się z lewa na prawo w rytm stukotu wybijanego przez koła.

Gdy dochodzi do mnie pisk hamulców, przez kilka sekund nie wiem, gdzie jestem. Dokoła mnie budzą się pozostali. Ktoś krzyczy, że mamy wychodzić, i w następnej sekundzie drzwi otwierają się od zewnątrz. Wciąż jest noc, pociąg zatrzymał się na jakiejś większej stacji. Podnoszę się powoli, zeszywniały na całym ciele z bólu i zimna, i zsuwam się nieporadnie na peron. Harald idzie za mną i ciągnie mnie nerwowo za rękaw.

– Myślałem, że już nigdy się nie rozjaśni – mówi. – Dłonie skostniały mi z zimna. Ledwo zmrużyłem oczy.

– No to włóż rękawiczki – odpowiadam zdawkowo i w tej samej chwili widzę, że ma już na sobie parę porządných rękawic.

O numer za dużych; pewnie należały do jego zmarłego ojca.

Niebo przypomina rozcieńczony atrament, rozświetlony jasną poświatą na horyzoncie. Panuje siarzysty mróz. Nieco dalej stoi kilka ochotniczek i nalewa zupę z wielkich parujących garów. Zapach zupy rozchodzi się w krystalicznym powietrzu.

– Grochowa – mruczy ktoś pogardliwie.

Liczyłem, że dostaniemy kawę i owsiankę, ale jestem tak głodny, że mogłbym ugotować i zjeść swoje własne buty, jak Charlie Chaplin w *Gorączce złota*.

Stoimy na peronie, trzymając w rękach menażki. Dowódcy stoją trochę bardziej z boku. Ponieważ nie mam doświadczenia w wojsku, nie jestem pewien ich stopni, ale podejrzewam, że jeden z nich, trzydziestoparoletni wąsaty mężczyzna o smutnym wyrazie twarzy, to chorąży. Niższy mężczyzna w okularach to pewnie porucznik. Rozmawiają ze sobą, palą papierosy i od czasu do czasu wodzą wzrokiem po peronie, przypatrując się nam, szeregowym. Mężczyzna w okularach przygląda się nam bacznie, a potem kręci głową, jakby uważał, że nie nadajemy się na żołnierzy. Domyślam się znaczenia tego gestu i czuję się dziwnie urażony, jakby dotyczył mnie osobiście.

Po posiłku zapalam papierosa i zaczynam przechadzać się po peronie, rozglądając się w poszukiwaniu grupy, do której mógłbym dołączyć. Zauważam barczystego mężczyznę o piwnych oczach, zajętego rozmową z wysokim i żylastym mężczyzną o rdzawych włosach i zaskakująco białych zębach. Pewnie można o nim powiedzieć, że jest przystojny; w każdym razie na pewno tak o sobie myśli. Ku mojemu zaskoczeniu dostrzegam, że stoi z nimi Harald.

Podchodzę do nich powoli, trzymając papierosa w kąciku ust. Pierwszy zauważa mnie Harald, witamy się. Przedstawia mężczyznę o piwnych oczach jako Johna Åkessona, a tego drugiego, z uśmiechem jak z reklamy stomatolu, jako Erika Månssona. Erik odsuwa się niechętnie, żeby wpuścić mnie do kręgu. Podajemy sobie ręce, częstuję ich papierosami.

– John wie, gdzie jesteśmy – oznajmia Harald.

– Naprawdę? – pytam zaciekawiony. – Rozmawiałeś z ochotnikami?

– Nie, nie musiałem. Jestem niemal pewien, że to Örebro. Przesiadałem się tu kilka razy. Poznaję stację.

Örebro – nazwa niewiele mi mówi, ale i tak jestem pod wrażeniem, że John rozpoznaje to miejsce. Widać ma głowę na karku.

– A więc... już kiedyś tu byłeś?

John wydmuchuje chmurę dymu i zawiesza wzrok gdzieś na linii horyzontu.

– Tak mi się zdaje. Kilka lat temu służyłem na północy.

Harald i Erik patrzą na niego z podziwem i wiem, że myślą to samo co ja. Że warto zaprzyjaźnić się z Johnem.

– Ja byłem w Smalandii. Latem jest tam masa komarów, ale za to mnóstwo borówek i jagód – wtrąca pospiesznie Erik, zanim John zwraca się do mnie:

– A ty, Georg? Gdzie służyłeś?

Właśnie tego pytania się obawiałem, ale nie sądziłem, że będę musiał na nie odpowiadać już na samym początku znajomości. Z pogardliwą miną ciskam na ziemię niedopałek papierosa i patrzę, jak migocząc, niknie w ciemnościach.

– W sumie to nigdzie, choć bardzo tego chciałem. Właściwie to wina Pera Albina*, w końcu to on odpowiada za rozbrojenie. Zostałem zwolniony ze służby. Razem oczywiście z całą masą innych rekrutów z mojego rocznika.

Erik unosi przekornie brew.

– No to miałeś pecha. Będziesz się musiał dużo nauczyć.

Harald patrzy na mnie zaskoczony, ale udaję, że tego nie widzę. Nie okłamałem go przecież, lecz nie powiedziałem całej prawdy. Zresztą to nie jego sprawa.

Stoimy w ciszy przez jakąś minutę. Harald spogląda przez ramię na dowódców.

– Mogliby nam powiedzieć, dokąd jedziemy, albo chociaż kiedy będziemy na miejscu! – mówi zdenerwowany.

Erik i John patrzą na siebie porozumiewawczo, a ja odsuwam się trochę od Haraldą, żeby nie pomyśleli, że się z nim przyjaźnię. Głos Johna brzmi jednak dosyć miło, gdy odpowiada:

– Nie jestem pewien, czy nawet komendanci wiedzą, dokąd jedziemy. Dostają nowe rozkazy na bieżąco. Przygotuj się na długą podróż, a nie będziesz zawiedziony. – Następnie patrzy na mnie z wyrzutem. – Tak na

* Per Albin Hansson (1885–1946) – szwedzki polityk, przewodniczący Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, w latach 1932–1936 oraz 1936–1946 premier Szwecji (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

marginesie: nie powinienś krytykować Pera Albina. W Skanii jesteśmy z niego bardzo dumni. Zwłaszcza teraz, kiedy jest wojna, potrzebujemy w Sztokholmie kogoś, komu możemy zaufać.

– Oczywiście, naturalnie – odpowiadam, choć nie podoba mi się mój własny żarliwy ton.

Po chwili John oznajmia, że jest mu zimno, i wraca do wagonu. Gdy odchodzi, zostaję sam z Erikiem i Haraldem, którzy tylko mi się przyglądają. Pierwszy ze zdziwieniem, drugi wyzywająco. Bez Johna nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Po kilku minutach przeproszam i wlokę się z powrotem do wagonu bydlęcego.

Po trzech długich dniach i kolejnym postoju drzwi wagonu otwierają się po raz ostatni. Dojeżdżamy na miejsce. Bez zbędnych ceremonii rozkazuje się nam jak najszybciej opuścić pociąg. Lokomotywa i wagony są całkowicie pokryte śniegiem. Mróz panujący na zewnątrz nie przypomina niczego, czego do tej pory doświadczyłem, a obolałe ciało daje się we znaki od samego początku. Po pierwszym szoku pojawia się uporczywa myśl: muszę jak najszybciej gdzieś wejść. Muszę schronić się przed zimnem!

Zaspy śniegu piętrzą się po obu stronach niewielkiej stacji i choć nie ma jeszcze południa, jest ciemno jak w środku nocy. Ze szronem na brwiach i na brodach stajemy w szeregu na peronie. Potrzeba zaledwie minuty, by wydychane powietrze zamieniło się w bryłkę lodu pod moim nosem. Mróz unosi się znad ziemi i przenika podeszwy butów. Owijam się ciasniej płaszczem i dyskretnie przestępuję z nogi na nogę.

Gdy chorąży – który najwyraźniej nazywa się Wahl – kończy rozmawiać z zawiadowcą stacji, odwraca się w stronę drugiego dowódcy, by w końcu nam oznajmić:

– Znajdujemy się w Morjärv, skąd udacie się do obozowych baraków niecałe osiem kilometrów stąd. Miejsce nazywa się Svartnäset. Nie dojeżdża tam pociąg, więc resztę drogi będzie trzeba pokonać pieszo.

W szeregu słychać pojedyncze protesty, ale już po chwili ruszamy ze stacji, kierując się na północ. Wraz z ostatnimi zabudowaniami kończy się również droga i wkrótce brniemy przez głęboki śnieg. Chorąży idzie

na samym przedzie. Porucznik o nazwisku Chapman odjechał już wozem konnym, który czekał na niego na stacji.

Droga, którą mamy do pokonania, daje nam przedsmak tego, czego możemy spodziewać się po służbie na północy kraju. Najgorzej ubrani zaczynają szczekać zębami i zwalniać kroku już po pierwszym kilometrze. Mam porządne zimowe buty i wełniany płaszcz, więc jakoś wytrzymuję, mimo to marsz jest męczarnią, jakiej chyba jeszcze nigdy nie doświadczyłem. Po zaledwie kilku minutach tracę czucie w stopach, palcach, twarzy i końcówkach uszu. Po jakimś czasie ból przechodzi w niepokojące odrętwienie, jakby zdrtwiałe części ciała nie należały już do mnie.

Teren, który przemierzamy, jest płaski i brzydki. Z daleka widać lasy, ale prawie żadnych zabudowań. Czuję głęboki niepokój. Określenie „baraki obozowe” nie brzmi zbyt zachęcająco. Czy drewniane baraki naprawdę ochronią nas przed tym nieludzkim zimnem? Po skosie przede mną idzie John i przez chwilę zastanawiam się, czy go o to zapytać, ale boję się, że wyjdę na równie nieopierzonego jak Harald. John jako jeden z niewielu ma na sobie kożuch i wygląda jak olbrzymi wół z trudem, ale stanowczo przedzierający się przez śnieg. Sprawia wrażenie tak zdeterminowanego, że nie mam odwagi się do niego zbliżyć. No nic, trudno: niedługo sam się dowiem, co nas czeka.

Po godzinie docieramy wreszcie do obozu, choć w pierwszej chwili nikt nie bierze tego za obóz. Nawet Wahl wydaje się zaskoczony i zarządza chwilowy postój. W mglistym półmroku dnia dostrzegam tuzin namiotów w kolorze wojskowej zieleni. Trochę dalej, na granicy świerkowego lasu, stoją dwa baraki i kilka mniejszych budynków gospodarczych. Nigdzie nie widać żywej duszy. Wahl obraca się i przemawia do nas:

– Żołnierze, dotarliśmy na miejsce. Przed wami Svartnäset i to tutaj spędzicie najbliższe cztery miesiące. Udajcie się teraz do strażnika, aby się zarejestrować. Otrzymacie od niego ekwipunek.

Chwilę potem zsuwamy się po grząskim zboczu w kierunku obozu, nie zważając na śnieg, skoro cel mamy w zasięgu wzroku. Dochodzą mnie pojedyncze, pełne nadziei komentarze na temat ciepłych kożuchów

i kolacji, a ja sam, podobnie jak inni, czuję ulgę, że nasza długa podróż się skończyła. Marzę już o tym, żeby odpocząć, zaspokoić głód i napisać do Kerstin. Gdy jednak dochodzę do podnóża wzniesienia, zatrzymuję się. Namioty? W śniegu?

Wahl prowadzi nas do najbliższego baraku i otwiera drzwi. Smukły mężczyzna ubrany w workowaty szary mundur wystawia głowę. Stopy ma owinięte jutowymi workami, ale z początku nikt z nas nie rozumie, co to oznacza. Ledwo wyczuwalna fala ciepła dociera do nas przez szparę w drzwiach. Przysuwamy się bliżej.

– Co jest? – warczy zirytowany, ale na widok dowódcy od razu zmienia ton. – Tak jest, panie chorąży! – melduje się, stając na baczność.

– Przyprowadziłem nowych rekrutów. Należy ich zarejestrować i wydać im ekwipunek.

Strażnik kiwa z przejęciem głową i zaciera chude dłonie, jakby je mył.

– Zarejestrować ich mogę, panie chorąży. Tylko jest pewien problem... – dodaje i zerka niepewnie na Wahla.

– Jaki problem?

– Chodzi o ekwipunek.

– Słucham?

– Cóż, no tak... nie ma ekwipunku. Nie dostaliśmy przydziału mundurów ani butów. To znaczy jeszcze nie dostaliśmy.

Mężczyzna milknie, zamiera, patrzy zaniepokojony na chorążego. Wahl mija strażnika i wchodzi do baraku, żeby na własne oczy przekonać się, czy ten mówi prawdę. Czekamy na zewnątrz w pełnej niedowierzania ciszy. Po jakiejś minucie chorąży wychodzi z naręczem szarych, trójskrzydłych kapeluszy pamiętających poprzednią wojnę i rzuca je pod nogi wystraszonego strażnika.

– Chcę rozmawiać z waszym przełożonym – oświadcza.

Strażnik pokazuje na drugi barak, do którego Wahl udaje się natychmiast zdecydowanym krokiem. Stoję pośród głodnych, zmęczonych i mocno wyziębionych żołnierzy. Patrzymy z wyrzutem na strażnika, który od razu chowa się z powrotem do baraku. Gdy zamyka za sobą drzwi, wszyscy zaczynają mówić jednocześnie.

– Nie ma ekwipunku, chcą nas zabić czy co?

– Witamy w hotelu Kostnica!

Niektórzy zarzekają się, że urwą łeb strażnikowi; inni, że chcą natychmiast wracać do Malmö.

– Cisza!

Porucznik Chapman jest wściekły. Z całej tej złości i rozczarowania zupełnie o nim zapomnieliśmy. Toczy po nas ponurym spojrzeniem.

– Zostaliście wezwani tu ze Skanii, żeby bronić ojczyzny, ponieważ nie możemy ufać mieszkającym tu rusofilom. Waszym obowiązkiem jest dawać dobry przykład.

Patrzymy na siebie. Ciągłe jeszcze mamy nadzieję, że to zwykłe nieporozumienie albo chociaż kiepski żart. John robi kilka kroków w kierunku porucznika i niezdarnie salutuje.

– Jesteśmy gotowi pełnić służbę. Ale w tym klimacie potrzebujemy kozuchów i zimowych butów – mówi, na co niektórzy ponuro przytakują.

Porucznik patrzy na niego z pogardą.

– Z tego, co widzę, macie już kozuch. Reszta musi poczekać. Nie ekwipunek, lecz postawa czyni żołnierza!

W gwarze, który powstaje, nikt nie zauważa, że Wahl wrócił, w dodatku jeszcze bledszy niż wcześniej, o ile to w ogóle możliwe. Prosi nas o uwagę i powtarza to, co już wiemy: w obozie brakuje ekwipunku. Nie ma odpowiedniej liczby mundurów, obuwia, broni ani kozuchów dla nas i dla młodzieży już w nim stacjonującej.

– Niestety jest to skutek problemów organizacyjnych i braku funduszy. Powołano tysiące żołnierzy, nie zapewniając im... – Kręci głową, ale mówi dalej: – Teraz musimy przygotować się do nocy. W magazynie czekają na was namioty. Po pięciu w każdym namiocie. Radzę, żebyście rozłożyli na ziemi gałęzie jodeł, zanim się położycie. Na każdy namiot przypada jeden piec. Nie pozwólcie ogniewi zgasnąć. Musi się palić przez całą noc, inaczej zamarzniecie na śmierć. Musicie pilnować go na zmianę.

Zmęczeni, zmarznięci i przerażeni wypełniamy rozkazy – czy mamy jakiś wybór? Gdy Chapman dzieli nas na grupy, staram się trzymać blisko

Johna, który stoi nieco z boku i rozmawia ściszym głosem z Erikiem. Na szczęście trafiam do ich namiotu, podobnie Harald, który dalej chodzi za mną jak cień. Piątym rekrutem, który zostaje przydzielony do naszego namiotu, okazuje się Axel, mój dawny kolega z Mellersta Förstadsskolan, który wita się oschle i mierzy mnie lodowatym spojrzeniem, dając mi tym samym do zrozumienia, co o mnie myśli.

Znikamy w ciemnościach lasu wyposażeni w siekiery i wracamy z naręczami kłujących gałęzi jodeł, które rozkładamy na ziemi w przydzielonym nam namiocie. Po chwili John i Erik uruchamiają piec i rozniecają ogień. Dym znika w rurze, która wystaje przez dach. Siadamy wokół pieca. Ogień rozgrzewa nam twarze, ale plecy wciąż mamy zimne jak lód. Erik i John sprawiają wrażenie przygnębionych, a Harald siedzi cicho z szeroko otwartymi oczami, szcękając zębami. Mam nadzieję, że nie wyglądam jak on.

– Gdzie my trafiliśmy, do jasnej cholery – mówi Erik i kręci głową, wyciągając ręce do ognia.

Przygnębieni i pełni złych przeczuć nawet nie zabieramy się do rozpakowywania plecaków. Gdy jednak robi nam się trochę cieplej, głód znów przypomina o sobie. Od wielu godzin nie dostaliśmy nic do jedzenia. Najwyraźniej ominął nas obiad w obozie, a po kuchni polowej nie ma nawet śladu. Głodni żołnierze – niektórych pamiętam jeszcze z pociągu – krążą z nadzieją wokół dwóch zamkniętych na głucho drewnianych baraków. John mówi, że pewnie będziemy musieli poczekać do kolacji i, jak się okazuje, ma rację.

Tymczasem zbieramy się na apel. Pierwszy raz widzimy pozostałych rekrutów przebywających w obozie i szybko rachując, oceniam, że jest nas około stu dwudziestu. Porucznik Chapman ma w ręku latarenkę, którą wymachuje tam i z powrotem, kiedy nas mija. Światło odbija się w jego okularach i dlatego nie wiadomo, na co patrzy. Czasem poprawia komuś czapkę, komuś innemu kołnierzyk, rozkazuje stać prosto, by nie wyglądać jak worek z sianem, lub ogolić się i wypastować buty przed kolejnym apelem.

Przerażony, że zwróci mi uwagę, prostuję się, aż trzeszczą kręgi, i próbuję powstrzymać drżenie. Gdy karze jednego z żołnierzy serią pompek za jakąś błahostkę, zaczynam rozumieć, jak ważne jest, żeby nie ściągać na siebie niepotrzebnie jego uwagi. Gdy ukarany, czerwony na twarzy od wysiłku, wykonuje rozkaz – dwa razy po dwanaście pompek – staram się udawać, że na niego nie patrzę.

W tym samym czasie Chapman wyznacza strażników do pełnienia nocnej warty i z ulgą stwierdzam, że ani ja, ani nikt z mojego namiotu nie zostaje wybrany. Strażnicy pełnią wartę przez dwie godziny na zmianę i Chapman wybiera czterech żołnierzy. Mają się dzielić zadaniem i mauerem z bagnetem na lufie, którym mają bronić obozu na wypadek ataku.

Po dziesięciu minutach stania na baczność tracę czucie w swoich ledwo rozgrzanych palcach rąk i nóg, a dokoła mnie rozlega się cichy, ale wyraźny dźwięk dzwoniących o siebie zębów. Na szczęście porucznik nie poświęca nam, nowo przybyłym, zbyt wielu minut, oznajmia jedynie, że czekają nas dni wypełnione ciężkimi ćwiczeniami i marszami, żeby możliwie jak najszybciej uzupełnić ewentualne braki w naszym przeszkoleniu wojskowym.

W obozie jest tylko czterech dowódców: on, chorąży Wahl, kapral o nazwisku Brandt i najwyższy stopniem dowódca o nazwisku Cedrenius, który jest kapitanem. Obecnie w Szwecji brakuje wyszkolonych dowódców, jak wyjaśnił Chapman. Już jutro wyjdziemy na pierwszy marsz poza obóz.

– Im szybciej poznacie klimat i teren, tym lepiej. Inaczej na niewiele się zdacie, gdy zaatakują nas Rosjanie.

– Gdy zaatakują nas Rosjanie! Widzieliście broń? Chryste. Była przestarzała już za czasów młodości mojego ojca. Ciekaw jestem, ile sztuk jest w obozie? Kto każe czterem strażnikom dzielić się jednym karabinem...! – narzeka John, gdy już dostajemy pozwolenie, żeby wrócić do obozu.

Axel siedzi w kącie z fajką, którą teraz wyjmuję z ust:

– To tylko dowodzi, że Per Albin jest kłamcą. Nasza gotowość bojowa nie jest wystarczająca. Jest beznadziejna.

John otwiera usta, żeby zaprotestować, ale po chwili znów je zamyka. Axel ma rację, trudno się z nim nie zgodzić.

– Choć oczywiście nie można wykluczyć, że nawet Per Albin o tym nie wie – dodaje po chwili. – Być może jego doradcy wmawiają mu, co chcą. Ten cały Archibald Douglas* to niezłe bydlę.

– Kto to jest Archibald Douglas? – pyta Harald, który najwyraźniej nie ma nic przeciwko okazywaniu swojej bezbrzeżnej ignorancji.

Axel marszczy nos.

– Faszysta.

– Generał dywizji – poprawia go John. – To on dowodzi oddziałami na północy Norrland.

– I faszysta! – nie odpuszcza Axel. – Zależy mu wyłącznie na tym, żeby Niemcy wygrały wojnę.

John kręci przecząco głową.

– To są spekulacje. Nawet Archibald Douglas nie może wyczarować kozuchów i butów z niczego.

– Owszem, może – upiera się Axel.

John patrzy na niego z ukosa, a ja wstydzę się za mojego dawnego kolegę ze szkoły. Nie mam zamiaru nikomu mówić, że się znamy.

– Rząd nie spodziewał się, że będzie wojna. Nie spodziewał się, że Rosjanie wejdą do Finlandii ani że Szwecja będzie tak szybko potrzebować tylu żołnierzy. Potrzeba chwili, żeby to wszystko zorganizować – mówię uspokajająco.

– Nie spodziewał się...? Od kilku lat z Niemiec słychać szcęk broni. Zdążyli już zagarnąć Polskę i Czechosłowację! – wybucha Axel.

Erik uśmiecha się do mnie z wyższością, spuszczam wzrok.

– Mimo wszystko – Georg, tak masz na imię, prawda? – ma rację. To wszystko kwestia organizacji. Trzeba przerzucić zaopatrzenie tam, gdzie znajdują się rekruci – mówi John.

* Vilhelm Archibald Douglas (1883–1960) – szwedzki generał, w latach 1944–1948 naczelny dowódca szwedzkiej armii.

Kiwam głową, zadowolony, że John się ze mną zgadza, choć najwyraźniej ledwo zapamiętał moje imię.

– I oczywiście nie ma znaczenia, że na skutek problemów organizacyjnych stracimy jutro podczas marszu palce u rąk i nóg – ripostuje Axel i wkłada z powrotem fajkę do ust.

O piątej po południu przed kuchnią polową, obsługiwaną przez strażnika i jakiegoś innego mężczyznę, prawdopodobnie kucharza, ustawia się kolejka. Zauważam, że większość mężczyzn stojących w kolejce owinęła stopy jutowymi workami. Mają na sobie kilka warstw ubrań i twarze owinięte szalikami, tak że widać tylko oczy. Nieliczni mają kozuchy, większość tylko zwykłe wełniane płaszcze. Dwie latarenki ze świecami wiszące po obu stronach kuchni polowej rozświetlają pobliski śnieg, przez co ciemność poza kręgami światła wydaje się jeszcze gęstsza. Stojący przed nami mężczyzna kaszle, jakby chciał wypłuć sobie płuca.

– Zapalenie płuc – stwierdza John.

Chory obraca się i wbija w nas wzrok błyszczącymi od gorączki oczami. Mam tylko nadzieję, że nie zacznie na mnie kasłać.

– Lub jeszcze gorzej – mruczy Erik.

Nikom z nas nowo przybyłych nie została jeszcze przydzielona menażka i wygląda na to, że mają je tylko niektórzy spośród stojących przed nami żołnierzy. Strażnik obozowy nakłada jedzenie na talerze z wymuszoną wesołością, która nie przystaje do wyglądu tych, których karmi. Po długim oczekiwaniu przychodzi wreszcie nasza kolej. Podchodzimy i wtedy również dostajemy talerz kapuśniaku, dwie kromki chleba i kubek gorącej czekolady. Patrzymy z niedowierzaniem na przydzielone nam niewielkie porcje. John pokazuje na swój talerz.

– To wszystko? – pyta zaskoczony.

Strażnik unosi w górę chochlę niczym broń i przedrzeźnia skański akcent Johna:

– To wszystko? To wszystko? Tak, to wszystko, przesuwaj się, nie tylko ty chcesz coś zjeść.

John stoi przez chwilę nieruchomo i w końcu odepiały odsuwa się na bok.

Idziemy za nim do niewielkiego ogniska, które rozpalili jacyś żołnierze, gdy my czekaliśmy w kolejce. Zupa zamarza już w menażkach, więc zjadamy ją najszybciej, jak możemy.

— Spuszczę manto temu strażnikowi, choćby to miało być ostatnie, co zrobię — zarzeka się John.

Namiot jest wciąż potwornie wyziębiony, choć piec grzeje już od kilku godzin, zresztą dopiero minęła szósta, za wcześniej, żeby się kłaść. Nie rozmawiamy więcej o naszej sytuacji, jakbyśmy w milczeniu zawarli porozumienie; poza tym jesteśmy zbyt przygnębieni. Po chwili Axel i Erik układają się na gałęziach i zaczynają partyjkę makao. Harald czyta książkę, widzę, że czytając, porusza ustami zupełnie jak dziecko. Trudno uwierzyć, że jest studentem. John siedzi przy piecu i próbuje zwiększyć ogień, manewrując uchylnikiem i przeklinając pod nosem.

Kładę sobie plecak jako podkładkę i zabieram się do pisania mojego pierwszego listu do Kerstin. Nie ma mnie od trzech, czterech dni, pewnie się już o mnie martwi. Jednak po pierwszych słowach — „Droga Kerstin!” — pióro na dłuższą chwilę zawisa nad kartką, a ja zastanawiam się, o czym tak naprawdę powinienem jej napisać. Nie chcę przecież niepotrzebnie jej niepokoić. Zresztą istnieje ryzyko, że w list zaingeruje cenzura, jeśli będę zanadto narzekać. Wreszcie decyduję się na stonowaną, zdawkową relację.

Droga Kerstin!

Potrzebowaliśmy prawie trzech dni, żeby dotrzeć do naszego garnizonu. Przez całą drogę jechaliśmy pociągiem, było dosyć zimno, ale rozgrzała nas grochówka. Chłopa-ki, z którymi tu przyjechałem, wydają się sympatyczne. Jeden z nich był już kiedyś w Norrbotten i dzieli się z nami dobrymi radami. Trafiłem do namiotu z Axelem Böcklinem, moim dawnym kolegą ze szkoły. Pamiętasz go?

Zabawne, że zostaliśmy powołani jednocześnie i do tego skierowani w to samo miejsce! Mamy tu mnóstwo śniegu, jak to dobrze, że jestem mistrzem w jego odgarnianiu. Prześlij Ci adres naszej poczty polowej, gdy tylko go dostanę, żebyś mogła do mnie pisać. Czy mogłabyś również wysłać mi kilka dodatkowych grubych swetrów, kalesonów i innych ciepłych ubrań? Przydadzą się!

Na chwilę przerywam, nie wiedząc, co powinienem napisać dalej. Na myśl o siedzącej samej w mieszkaniu w Malmö Kerstin pęka mi serce. Wiem, że niemal każde słowo w liście trąci fałszem; nie wyraża tego, co tak naprawdę czuję. Z coraz bardziej ściśniętym sercem piszę dalej:

Tęsknię za Tobą. Napisz, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Niedługo zapewne przeprowadzisz się do matki. Bądź dobrej myśli, Kerstin, to nie będzie trwać wiecznie. Spróbuję dostać przepustkę do domu najszybciej, jak to możliwe, może już w przyszłym miesiącu.

W ostatnie słowa nawet sam nie wierzę. Muszę jednak, podobnie jak Kerstin, być dobrej myśli. Ukrywając prawdę, chronię nie tylko ją, ale również samego siebie. Nie wiem jeszcze, jakie trudności czekają nas tutaj w Norrland, ale chyba wszyscy rozumiemy, że mamy przed sobą ciężki czas, choć wciąż próbujemy zachować pozory i nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boimy.

Być może celowo unikam prawdy, choć nie zdaję sobie jeszcze sprawy z przyczyn. Możliwe, że kieruje mną czysty instynkt. Przeczucie, że pewnego dnia będę chciał schronić się w tej niewiedzy, żeby nie musieć pamiętać.

Rok 1940. Georg krótko po ślubie zostaje powołany do wojska, żeby bronić granicy z Finlandią. Trafia do jednostki, gdzie musi zmierzyć się z temperaturą sięgającą minus czterdziestu stopni i sadystycznym dowódcą.

W obozie wybucha bunt, giną ludzie.

Pozostawiona samotnie w Malmö Kerstin, żona Georga, spotyka tajemniczą Violę. Mimo dzielących ich różnic, zaprzyjaźniają się, a wkrótce zawiązuje się między nimi namiętny romans. Viola czasem znika bez słowa. Prowadzi drugie życie, które niesie zagrożenie nie tylko dla niej.

Gdy po kilku latach Georg wraca do domu, dręczą go wspomnienia z wojny. Próbuje się odnaleźć, marzy o zemście. Kerstin z kolei nie umie pogodzić się z przykrym finałem jej związku z Violą. Wkrótce odkrywa też, że ktoś ją śledzi. Ktoś, kto wie o jej zakazanej miłości i kto grozi, że wyjawí prawdę. Żeby żyć dalej, Kerstin i Georg muszą rozliczyć się ze swoją przeszłością.

Znakomita powieść o drugiej wojnie światowej
– o przyjaźni, miłości, buncie i zdradzie – a także o tym,
jak wojna potrafi zmienić neutralny kraj i zwykłych ludzi.

MARIE BENNETT

urodziła się w 1969 roku w Malmö. Studiowała historię sztuki na uniwersytecie w Lund i dziennikarstwo w londyńskim City University. Mieszkała w Paryżu, w Kalifornii i Madrycie, a w końcu osiadła w Londynie, gdzie znalazła pracę w mediach i od osiemnastu lat mieszka ze swoją rodziną. *Hotel Angleterre* to jej debiut, świetnie przyjęty przez czytelników i krytyków. Pracuje obecnie nad drugą powieścią.

www.morginesy.com.pl



9 788365 282774

cena 49,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl